



CO WIDZIAŁ STANISŁAW L.

**Prof. dr hab.
Jerzy Jarzębski**

jest krytykiem
i historykiem literatury,
znawcą twórczości
Witolda Gombrowicza,
Brunona Schulza
i Stanisława Lema.
Autor książki
„Wszechświat
Lema”; wydawca,
autor komentarzy
do 33 tomów „Dzieł
wszystkich” Stanisława
Lema.

jurek.jarzelski@gmail.com

O tym, jaką przyszłość przewidywał Lem, przed czym przestrzegał oraz czy nadal pozostaje autorem nierozumianym, mówi **prof. dr hab. Jerzy Jarzębski** z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Państwowej Wyższej Szkoły Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu.

ACADEMIA: Kiedy zetknął się pan z twórczością Stanisława Lema?

JERZY JARZĘBSKI: Jako sześciolatek.

Czyli w 1953 roku?

Mniej więcej. „Przekrój” drukował wtedy w odcinkach „Obłok Magellana”. Byłem z mamą u jej znajomych w Warszawie i bardzo się nudziłem. Wziąłem więc z leżącego na stoliku stosu gazetę i zacząłem czytać. Trafiłem źle, bo na moment, kiedy kosmonauci z Ziemi spotykają wystrzelonego z Ziemi przed wiekami satelitę, który się urwał z orbity a w nim zostały zasuszone trupy Atlantydwów, czyli żołnierzy NATO, i broń atomowa. To było nieprzyjemne i drastyczne. Pomyślałem, że science fiction to jest rodzaj horroru. Później, może w 1959 r., widziałem w kinie film „Milcząca gwiazda”, nakręcony na podstawie „Astronautów” we współpracy z NRD i w przedwojennych studiach Defy. Też dość przerażający dla dziecka.

Lem panu odtąd towarzyszył?

Nie, straciłem z nim kontakt na długie lata. Kiedy kończyłem polonistykę, rozmawiałem z kolegą szkolnym, który studiował matematykę i informatykę. Powiedział, że Lem jest bardzo ciekawy. Postanowiłem, że muszę nadrobić braki, i zacząłem go czytać.

I tu już zacząłem dobrze, bo od opowiadań, które były bardzo udane, ze zbioru „Inwazja z Aldebarana”. Ciekawe to teksty, szczególnie „Przyjaciel”. Lem opisał w nim komputer przyszłości, który chciał przejąć kontrolę nad cywilizacją. To było zabawne z naszego punktu widzenia, bo komputer, który teraz, jak przypuszczam, zmieściłby się w teczce, zajmował ogromny gmach wypełniony starożytnymi lampami. To była pretekstowa historia, bo w gruncie rzeczy chodziło o człowieka, który zgodził się współpracować z tym mechanicznym potworem i zdradzić dla niego ludzkość. Bo był outsiderem i samotnikiem, któremu się w życiu nie wiodło. Komputer dał mu poczucie panowania nad światem.

Dlaczego to opowiadanie szczególnie utkwiło panu w pamięci?

Bo pokazuje, że Lem nie zawsze był nieomylnym prorokiem w dziedzinie technologii, ale nigdy nie stracił humanistycznej wrażliwości na problemy człowieka. W 2016 r. wyszła książka Agnieszki Gajewskiej „Zagłada i gwiazdy. Przeszość w prozie Stanisława Lema” [Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań – przyp. red.], która udowodniła, że bardzo dużo stworzonych przez niego scen okrucieństwa czy masowych morderstw, to jest powrót do obrazów Holocaustu, które on pamiętał ze Lwowa. To zostało przez niego ukryte, także dlatego, że niezbyt lubił przypominać innym, że jest Żydem. Ale ta pamięć nigdy się u niego nie zatarła.

Lem był dosyć mizantropicznie nastrojonym filozofem. Nasze porozumienie wynikało stąd, że byłem bodaj

pierwszym badaczem, który zajął się nim jako pisarzem mainstreamowym [z Lema bardzo pozytywną akceptacją – przyp. red.]. Np. Lem nie występował w kompendiach dotyczących najważniejszych zjawisk dotyczących literatury polskiej XX w. Tak jest w świetnej zresztą „Literaturze polskiej 1976–1998” autorstwa Przemysława Czaplińskiego i Piotra Śliwińskiego; moi przyjaciele jakby odruchowo uznali, że Lem nie pasuje do reszty.

A przecież pasował: w latach 80. „Bajki robotów” z 1964 r. z pana postawieniem były dla wielu osób naprawdę ważną lekturą.

Bo każda ma morał, który prowadzi do jakiegoś obnażenia człowieka. Te roboty są okropne: wszczynają wojny, są chciwe i jednocześnie pazerne na mało warte, wydawałoby się, godności. Jednym słowem – są bardzo podobne do ludzi, szczególnie do polityków. Można powiedzieć, że pod tym względem pisarz był bezlitosny. Jedne z ostatnich jego słów – przypomniane w ubiegłym roku w filmie dokumentalnym „Jak Lem zmagał się z życiem” Borysa Lankosza – to było ostrzeżenie przed braćmi Kaczyńskimi. Był trochę Kasandra w ostatnich felietonach i esejach, które wydawały się czytelnikom przesadnie czarnowidzące. Powtarzają te same ostrzeżenia – mówiono – a my w końcu jakoś żyjemy. A okazuje się, że miał w bardzo wielu wypadkach rację. Jego przestrogi były uzasadnione. Na przykład idea wojny hybrydowej jest wręcz od niego przepisana.

Druga kwestia, która nastrajała go pesymistycznie, to upadek moralności uczonych. Żył w czasach, kiedy na Wschodzie panował komunizm. Spotykał się z uczonymi radzieckimi kilkakrotnie i zawsze wracał stamtąd podbudowany, bo widział w nich ludzi, którzy są skłonni do poświęceń dla prawdy i do ryzyka. I tak było, choćby w przypadku fizyka jądrowego Andrieja Sacharowa, mocno zaangażowanego w działalność opozycyjną. Lem z tych kontaktów powziął mniemanie, że prawdziwi uczeni to ci, którzy zachowują etos uczonego. Później, z upływem czasu, dostrzegał więcej pazerności i interesowności również u naukowców, którzy ogłaszali na przykład plagiatowe lub wręcz fałszywe odkrycia.

Do tego dochodziła świadomość, że bardzo wiele rzeczy szalenie istotnych zdarzyło się w nauce „mimo wszystko”. Rzeczy niebezpiecznych. Czyli uczoney może też być jak małpa, która się bawi brzytwą i może pociąć śmiertelnie nas wszystkich. To wszystko odbierało mu radość. Kiedy był początkującym pisarzem, w latach 40. i 50., to wprawdzie dopiero co była wojna i Holocaust, ale jednak istniała pewna nadzieja, że przyszłość Ziemi będzie inna, lepsza, bo czegoś się ludzkość nauczyła. Esencjalny optymizm widać było w stosunku Lema do odkryć naukowych czy do podróży kosmicznych. Podbijemy kolejne obszary, żeby tam zaprowadzić ład moralny i organizacyjny... Oczywiście później, jak to dalej szło, sam zaczął sztydzić z tych ładów, szczególnie z etycznych. Pisał takie opowiadania jak „Kobyszczę” od KOntemplatur BYtu SZCZĘsny.

STANISŁAW LEM

To miała być próba stworzenia szczęśliwego społeczeństwa i szczęśliwych istot. Ale to nie wyszło.

Czy wskazuje dlaczego?

Cóż, bo ludzie są źli, ulegają najniższym instynktom. W „Wizji lokalnej” przedstawił więc pomysł, żeby ich z tym zostawić, z ich złem, a konkretnie otoczyć rzeczywistością, która będzie ich od czynienia paskudnych rzeczy powstrzymywać. Istoty te mogłyby nawet próbować, ale byłoby to nieskuteczne. Uwielbiam jedną scenę z tej książki: Ijon Tichy, który odwiedza planetę, patrzy na dzieci w piaskownicy. Najmniejsze jest niby ofiarą pozostałych – starają mu się mu dokuczyć, ale nie mogą. Rzucają w niego piaskiem, ale piasek nie dolatuje, chcą go bić łopatką po głowie, ale łopatką się rozpada. W końcu mali napastnicy biorą swoje zabawki i płacząc, idą do domu, a niedoszły poszkodowany siedzi sobie spokojnie. Lem tą opowieścią mówi, że być może da się stworzyć takie środowisko, które nie będzie dopuszczało do jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu jego mieszkańców, ale to zostawi ich zatrzaśniętych wewnątrz kapsuł, w których będą z własnym złem siedzieć. Nie będą mogli go skutecznie rozładować. Im bliżej końca życia Lema, tym więcej pesymistycznych uwag dotyczących tego, co nas czeka.

W „Kongresie futurologicznym” z 1971 r. opisuje terroryzm.

Bardzo ciekawe jest to, co z „Kongresu futurologicznego” zrobił w filmie z 2013 r. izraelski reżyser Ari Folman. Dużo zostało zmienione i na początku nie mamy wrażenia, że film jest oparty na prozie Lema – to się okazuje dopiero po pewnym czasie. U Lema główny nacisk jest położony na to, że świat, który będzie ludzi otaczał, będzie sfalszowany, nieprawdziwy, w tym sensie, bo będą oni cały czas pod działaniem jakichś halucynatorów przekonujących, że jest świetnie, choć będzie źle, że jest ciepło, choć będzie zimno, że są syści, choć będą głodni, że jeżdżą wspaniałymi krążownikami szos po autostradach, choć popychają jedynie nędzne wózki z resztką dobytku. Ten pomysł u Lema owocował w postaci pozornie zabawnych sytuacji: bohater opowiadania, który przylatuje na kongres do luksusowego hotelu wieżowca budzi się po ocknięciu ze środków halucynogennych zawsze w tym samym kanale pod hotelem, w towarzystwie szczurów.

To świat groteskowy, ale i apokaliptyczny.

W „Kongresie” Folmana jeszcze bardziej upiorny. Jest aktorka, która rezygnuje z grania w komercyjnych filmach, bo uznaje, że nie będzie się sprzedawać. Po pewnym czasie producenci przestają się nią interesować, mieszka z dwojgiem dzieci w hangarze przy lotnisku. Główny problem to choroba psychiczna jej syna. Ona marzy o tym, żeby jakoś mu pomóc, dlatego w końcu przyjmuje – pod naciskiem swojego agenta – propozycję od producenta, który kupuje jej wizerunek.

Zgadza się na to, że jej miny, gesty zostaną zeskanowane i traci do nich jakiekolwiek prawo. On może z tego zrobić dowolną bohaterkę dowolnych filmów. To jest oczywiście związane z nowymi technologiami. Co mnie najbardziej zdumiało, to to, że pokazana w filmie nieprawdopodobna, wydawało się, maszyna, kula najeżona reflektorami i kamerami, która ją skanuje, okazała się nie dekoracją, tylko prawdziwym, istniejącym urządzeniem.

Jakie jeszcze są różnice?

U Lema wszyscy ludzie są myleni czy oszukiwani w sprawie swojego autentycznego położenia: to jest coś w rodzaju łaski, jaką im dają przywódcy państwowi, polityczni. Trudno właściwie powiedzieć, kto to jest, ale ktoś wszystkiego pilnuje. Jakaś władza, jakaś instancja kontrolna. Ktoś musi być „ocknięty”, żeby wiedzieć, co się dzieje, żeby dostarczyć tę breję, którą każdy człowiek je tam jako kawior. Lem nie wskazuje wyraźnie, że to jest działanie złej woli. No, trudno, trzeba jakoś ludzkość oszukiwać, żeby przynajmniej miała przyjemność z życia. Najbardziej mi się podobało, że można było kupić w sklepach dowolną liczbę oryginałów Rembrandta. Natomiast w filmie jest tak, że istnieją instancje, którym zależy na tym, żeby ludzie fałszywie przeżywali rzeczywistość. Czarnym charakterem okazuje się właściciel tego potężnego interesu, z którym główna bohaterka próbuje walczyć, ale niewiele może zrobić.

Lem ma dużą szansę by czytelnicy ponownie się nim zainteresowali, dlatego że intelektualnie rzecz biorąc, to jest gigant.

Przewiduje pan powrót zainteresowania Lemem?

Trudno mówić o powrocie. Raczej powiedziałbym o zmianie. Nie ma bowiem takiego zainteresowania, które by cały czas było podobne i ograniczało się do czytania po raz któryś tych samych książek. Żeby pisarz żył, musi być wkładany w nowe konteksty. Myślę, że Lem ma na to ogromną szansę, dlatego że intelektualnie rzecz biorąc, to był gigant. Niezwykle nowatorski myśliciel, który się nie przejmował żadnymi ogólnie przyjętymi twierdzeniami i proponował własne pomysły. One zresztą często w jego czasie nie chwytały.

Czuł się nierozumiany?

Jest w „Doskonałej próżni” taka fikcyjna recenzja z fikcyjnej książki fikcyjnego autora, który postanowił do-



WIKIMEDIA COMMONS – ZDJĘCIE UDOSTĘPNIŁO PRZEZ WOJCIECHA ZEMLKA, SEKRETARZA AUTORA

uważają, że są bardziej zorientowani, mówią: no tak, może i ciekawe są pomysły Lema, ale on nigdy nie był np. przy zderzaczach hadronów pod Genewą, więc pewnych rzeczy nie wie. To nieporozumienie – on był wielki nie dlatego, że umiał iść krok za krokiem czy ewentualnie o pół kroku wyprzedzać naukę, ale dlatego, że potrafił myśleć w sposób uniwersalny, wyciągać z odkryć na jednym polu konsekwencje, które działały w innych dziedzinach nauki.

Pana syn jest teraz w wieku, kiedy pan zaczynał czytać Lema. Co by pan mu polecił na początek?

Może „Solaris”? Bo z jednej strony jest ona próbą stworzenia portretu Obcego, który nie przypomina żadnych innych antropomorfizujących portretów, jakie dotąd tworzono. Tu Obcy jest naprawdę obcy. Ale również z powodu tego, co się dzieje między ludźmi a oceanem, a co można interpretować psychologicznie i literacko na bardzo różne sposoby.

Bardzo ciekawa jest także powieść „Fiasko”, wydana w Polsce w 1987 r., w której Lem wykorzystuje tekst opowiadania napisanego jeszcze w czasach Stalina. Tam mamy niemożność porozumienia między „braćmi w rozumie” czy też „braćmi w Kosmosie”. Ostateczną przeszkodą okazuje się nie sama odległość, lecz odmienność, której skali zresztą Ziemia nie potrafią do końca zmierzyć. Fiaskiem jest udział w wyprawie hiperracjonalistycznie myślącego komputera, który nosi znaczącą nazwę God. On jest komputerem „ultymatywnym”, takim intelektualnym Panem Bogiem, ale szczególnym, bo myśli racjonalistycznie, ale oczywiście elementy tej racjonalności są w niego wbudowane przez ludzi, więc nie są obiektywne. W wypadkach, kiedy można by odpuścić i nie zmuszać kosmitów do tego, żeby się porozumieli z kosmitami, on jednak jest nastawiony na konfrontację i „zwycięstwo”, co sprawia, że to w gruncie rzeczy istota groźna. Natomiast, co ciekawe, pozytywnym bohaterem jest uczestniczący w wyprawie zakonnik, który myśli po ludzku, normalnie, np. że może się pchać do kogoś, kto nas nie chce. Jednym słowem – jest najbardziej zdroworoządkowy.

Lubię tę książkę dlatego, że niezmiennie szalenie bawi mnie to, jak Lem tłumaczy konieczność porozumienia Ziemiaków z mieszkańcami tej obcej planety. Otóż misja kosmonautów kosztowała mnóstwo pieniędzy, nie mogli więc wrócić na Ziemię i powiedzieć: „Niestety, spotkaliśmy tych obcych, ale oni nie chcą z nami rozmawiać, w związku z czym pomachaliśmy im łapką i wróciliśmy na Ziemię”. To nie wchodzi w rachubę, bo oni są nie tylko przedstawicielami ludzkości, lecz przede wszystkim potęg finansowych. A te płacą za sukces, nie za porażkę.

Z PROF. JERZYM JARZĘBSKIM
 ROZMAWIAŁA ANNA ZAWADZKA
 ZDJĘCIE JAKUB OSTAŁOWSKI

” Lem nie zawsze był nieomylnym prorokiem w dziedzinie technologii, ale nigdy nie stracił humanistycznej wrażliwości na problemy człowieka.

trzeć do jakichś zapomnianych pomników myśli ludzkiej, koncepcji, które nie wypaliły, którymi nikt się nie zajmował, bo uznawano je za szaleństwo. A one były jedynie zbyt wyszorowane w stosunku do ówczesnego stanu nauki. W konkluzji tłumaczy, dlaczego niektóre odkrycia ludzkiej cywilizacji zostały zapomniane: po prostu naprawdę rewolucyjne osiągnięcia nauki są nie do zrozumienia nie tylko dla współczesnych, ale także dla tych późniejszych pokoleń.

Sądzę zatem, że Lem mógł się czuć uczonym, którego nie rozumiano na czas, a później już było za późno. I myślę, że wiedział, że nie jest uznany, nie dlatego, że uważa się go za głupiego czy banalnego, ale dlatego, że ci, którzy go próbowali czytać, do niego nie dorosli. Dopiero co przeczytałem w Internecie taki zbiorowy manifest niewiary w wielkość Lema. Ale – wybaczenie, Autorzy! – czy Wy nie czytacie Lema w sposób zbyt prosty? Czy nie umyka Wam treść filozoficzna jego dzieła? Czy nie zachowujecie się tak jak człowiek, który by żądał od Kanta znajomości współczesnej fizyki czy biologii, nie dostrzegając zarazem nadzwyczajnego nowatorstwa jego myśli? Dość ciekawa jest relacja między Lemem a uczonymi specjalistami. Oni